

te auta nowym instytucjom: wystarczyło mieć odpowiedni papierek i już się wyjeżdżało samochodem. Razem z bratem wypatrzyliśmy miniaturowy samochodzik, kabriolet ford eifel, wypchaliśmy go na ulicę. Brat jakoś go uruchomił i chociaż nie miał jeszcze prawa jazdy, przejechaliśmy ulicą Kościuszki kilkaset metrów. Po czym samochód zgasł. Ale przygoda pozostała w pamięci.

Wielkim przeżyciem było też dla mnie odkrycie ogrodu zoologicznego w dzielnicy Zdrowie, w pięknym parku. I znów chłopak z Korniaktowa spotykał się po raz pierwszy w życiu z niezwykle zwierzętami. Najbardziej polubiłem osiemnastoletniego szympansa, który zadumany wpatrywał się w jakąś sobie tylko widoczną przestrzeń. Wspaniała była też hipopotamica Lusia, otwierająca szeroko paszczę w oczekiwaniu na drobne ptaszki oczyszczające jej uzębienie. Samotne wędrówki po parku przypominały mi czasy korniaktowskie, pozwalały odetchnąć po pośpiesznym rytmie poznawania nowego świata.

BRUS – UNIwersYTET

Mama przy wsparciu Stronnictwa Ludowego nie ustawała w staraniach zorganizowania uniwersytetu ludowego. Jeździłem razem z nią po okolicach Łodzi w poszukiwaniu odpowiedniego obiektu. Wystarała się u władz o służbowy samochód. Był to sportowy adler z otwieranym dachem. Byłem zachwycony tym samochodem i zwiedzaniem okolicznych dawnych majątków posiadaczy ziemskich.

Wreszcie pod samym miastem mama znalazła drewniany pałacyk po jakimś niemieckim fabrykancie. Wydawał mi się

obiektem bajkowym. Szeroki drewniany ganek z rzeźbionymi elementami, narożna wieżyczka kryta blachą, jakby miniaturowa dzwonnica. Trzy poziomy dachu, po których można było się wspinać. Wewnątrz przeszklony hol z lśniąco białą posadzką, ogromne pokoje na parterze i kameralne, przytulne na piętrze. Wyżej znajdował się drewniany strych pełen tajemniczych zakamarków. Do tego wspaniały ogród opadający w stronę małej rzeczki, a w nim wielki staw z wysepką pośrodku. Na tyłach domu znajdował się prawdziwy basen kąpielowy otoczony żywopłotem z ligustru. Obok pałacyku rósł klon, idealny do wspinania się po nim. Był to dla mnie nowy, wspaniały świat, w którym nie było miejsca na troski, jakby kontynuacja tamtego wczesnego dzieciństwa w korniaktowskich lasach.

W Brusie spędzałem dużo czasu, chociaż w zasadzie mieszkalem w Łodzi z ciotką Leną, a to z powodu bliskości szkoły. Uciekałem jednak od niej, ponieważ wprowadzała nieznośną dyscyplinę oraz obowiązek porannych i wieczornych wspólnych modlitw, często na klęczkach.

Jak udało się mamie zorganizować Uniwersytet Ludowy w Brusie, nie wiem do końca. Nowe władze widocznie jeszcze nie dość dokładnie zbadały, jakie ideowe założenia miał ten uniwersytet. Odbyło się kilka kursów. Słuchacze wzorem uniwersytetu w Gaci Przeworskiej mieszkali na miejscu w internacie. Program zawierał między innymi przedmioty związane z kulturą i tradycjami ruchu ludowego, literaturę, historię, rozmowy o rodzinie i zajęcia teatralne. Była to kontynuacja wszystkich tradycji inscenizacji pieśni ludowych, z których mama zasłynęła. Inscenizacji prezentowanych w Krakowie, we Lwowie, opisywanych przez Leona Kruczkowskiego i Marię Dąbrowską. Mama nawiązała bliski kontakt z Leonem Schillerem, dyrektorem Teatru Wojska Polskiego. Dzięki temu słuchacze

często uczestniczyli w próbach, na które mama zabierała mnie ze sobą. W ten sposób zetknąłem się po raz pierwszy z prawdziwym, zawodowym teatrem, jego atmosferą i przede wszystkim z osobowością Leona Schillera.

TEATR

Leon Schiller był osobą korpulentną, zawsze elegancko ubraną w ciemny garnitur, pod szyją miał muszkę, na głowie kapelusz, a w ręce laseczkę albo parasol. Był łysiejący, usta zaś układały mu się w podkówkę, wskutek czego jego twarz miała wyraz melancholijny. Mówił bardzo cicho. Podczas prób na scenie Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi nigdy nie podnosił głosu, toteż panowała tam zawsze skupiona cisza. Czasami podnosił się z fotela w pierwszym rzędzie i wchodził na scenę, czyniąc jakiemuś aktorowi lub aktorce uwagi niemal na ucho. Ten spokój i wyciszenie były dla mnie zaskakujące wobec rezultatu pracy Schillera w postaci widowisk pełnych energii, temperamentu, ruchu i koloru. Obejrzałem wówczas inscenizację *Cudu mniemanego*, czyli *Krakowiaków i Górali* Wojciecha Bogusławskiego z muzyką Jana Stefaniego, *Burzę* Szekspira, *Miasteczko na dłoni* Jana Drdy. Uczestniczyłem jako widz w wielu próbach, zafascynowany powstawaniem na moich oczach formy poszczególnych scen, aktów, wreszcie całości spektaklu na próbach generalnych. Jednocześnie praca reżysera nie była dla mnie jakimś wielkim zaskoczeniem. Przyglądałem się przecież pracy mojej mamy nad powstawaniem „sztuk z głowy” na uniwersytecie w Gaci Przeworskiej. Widziałem też wielokrotnie,